

Przegląd amerykański (IX)

Konserwatyści o Deklaracji Niepodległości i segregacjonizmie Lincolna

Jacek Koronacki

W rocznicę Deklaracji

Tegoroczny czerwcowy numer „Chronicles” uczcił 225. rocznicę podpisania Deklaracji Niepodległości przez 13 brytyjskich kolonii, od New Hampshire i Massachusetts na północy po Georgię na południu, trójgłosem trzech profesorów: swojego redaktora działu prawnego i profesora historii prawa z Northwestern University, Stephena Pressera, historyka Ameryki z Uniwersytetu Południowej Karoliny, Clyde’a Wilsona, oraz filozofa z Uniwersytetu Emory w Atlancie w stanie Georgia, Donalda Livingstona.¹

Wszyscy trzej autorzy w sposób tyleż lapidarny co surowy krytykują liberalne rozumienie Deklaracji. Pozwolę sobie skupić się na głosie ostatniego z wymienionych, prof. Livingstona, na którego zresztą powoływałem się już w III odcinku tego przeglądu. Livingston zaczyna swój wywód krytyką szczególnie dosadną:

Ostatnio aktywista ruchu homoseksualistów stwierdził w programie wielkiej stacji telewizyjnej, że odrzucenie homoseksualnych „mażeństw” jest pogwałceniem Deklaracji Niepodległości. Z kolei działacz ACLU² uznał, że obecność Dziesięciu Przykazań na ścianie sali sądowej jest pogwałceniem nie tylko Karty Praw,³ ale i Deklaracji. Jakkolwiek poglądy te są absurdalne, to jednak logicznie wynikają z dominującej dziś liberalnej interpretacji Deklaracji Niepodległości. Zawarte tam stwierdzenia o ludziach, którzy są „stworzeni równi”, którzy mają „niezbywalne prawa” do „życia, wolności i poszukiwania szczęścia”, traktowane są jako ujmujące treść całego dokumentu, jako definiujące jego znaczenie. Interpretowana liberalnie, Deklaracja staje się w ten sposób zapisanym fundamentem etyki radykalnie indywidualistycznej. Tak pojmowana jest aktem uprzywilejowania wolności jednostek nad zbiorową wolnością ludzi, obywateli państwa, które chroni ich wartościowy sposób życia.

Autor zaczyna zatem od zderzenia wizji Stanów Zjednoczonych jako państwa ufundowanego na myśli Locke’a, „państwa-idei”, z widzeniem początków Ameryki w kontekście historii i kultury owego czasu oraz miejsca. Deklaracja [...] nie mówi o żadnej całości utworzonej z atomistycznie pojmowanych jednostek ludzkich rodem z Locke’a, zjednoczonych w celu lepszej ochrony ich indywidualnych interesów, mówi zaś o historycznie wcześniejszych społecznościach politycznych, z których każda – chcąc jednocześnie zachować suwerenność -- poszukiwała konstrukcji dającej prawne zabezpieczenie tego, co uznawała za wartościowy sposób życia.

Naturalne czy też niezbywalne prawa człowieka, nieobecne były w starożytnych tradycjach Grecji i Rzymu, nieobecne w Biblii i tak samo nie występowały w [niedługo po Deklaracji uchwalonej] Konstytucji. To co w Konstytucji było, to jedynie odwołania do angielskiej tradycji niepisanego prawa zwyczajowego. [...] Amerykanie mieli oczywiście mocne poczucie wolności indywidualnej. Ale [w swojej Konstytucji] jej wykładnię i interpretację pozostawiali w głównej mierze stanom. [...] A czym było abstrakcyjne stwierdzenie, że „wszyscy ludzie są

*stworzeni równi”? Było tym czym jest: właśnie abstrakcją. Jest to stwierdzenie doskonale puste, które nie może być przewodnikiem dla nikogo i w żaden sposób, jeśli nie przydać mu kontekstu moralnej i religijnej tradycji, ze wszystkimi ich osobliwościami i wszelką przygodnością. Dopiero w tym kontekście możliwa jest interpretacja stwierdzenia o równości wszystkich. (Dwaj pozostali autorzy mówią *explicite* w tym miejscu o równości przed Bogiem i równości wobec prawa.)*

Livingston tak podsumowuje swój wywód: *Ojcowie Założyciele nieraz ulegali językowi racjonalizmu, i tak uczynił Jefferson, gdy przygotowywał tekst Deklaracji⁴. Ale zasadniczym celem Jeffersona było potwierdzenie zbiorowej wolności 13 państw-stanów, każdego wraz z jego szczególną tradycją moralną i religijną, nie zaś przedkładanie abstrakcyjnych stwierdzeń. Jefferson i jego współcześni dobrze rozumieli, że treść praw naturalnych będzie miała swoje źródło w owych różnych tradycjach. Dopiero w latach 30-tych XIX wieku, gdy wymarło już pokolenie Założycieli, na amerykańskiej scenie pojawiła się generacja agresywnych zwolenników centralizacji, mówiąca językiem nacjonalizmu francuskiej rewolucji. To ta generacja dała nowe rozumienie prawom naturalnym z Deklaracji. Odtąd będą to prawa *sensu stricto* abstrakcyjne, stojące samymi sobą, używane (tak arbitralnie, jak na to pozwalają puste abstrakcje) do zniszczenia moralnych i religijnych tradycji państw-stanów, które na mocy Deklaracji miały pozostać niepodległe.*

W tym podsumowaniu zawartych jest kilka elementów, przy których warto się jeszcze zatrzymać. Livingston ma rację abstrahując od złożoności intelektualnej formacji samego Jeffersona, deisty, któremu myśl Locke’a była zresztą bliska. I to nie dlatego, że sam Jefferson stwierdzał, że jego tekst nie był zapożyczeniem z „Drugiego Traktatu” Locke’a. Deklaracja była dokumentem Kongresu Kontynentalnego, a nie stanowiskiem choćby i wybitnego jego członka. Deklaracja była przede wszystkim dokumentem odnoszącym się do sprawy najbardziej konkretnej z konkretnych, mocno osadzonej w miejscu, czasie i kontekście społecznym. Odnosiła się mianowicie do oderwania 13 kolonii od Korony. Deklaracja szczegółowo uzasadniała, odwołując się – jak napisał Clyde Wilson – do dobrej angielskiej tradycji Wielkiej Karty i Chwalebnej Rewolucji, gdzie kolonie o własnej już historii samorządnych społeczeństw widzą prawne źródła decyzji o wypowiedzeniu posłuszeństwa Koronie. I, co niezwykle ważne, Deklaracja była absolutnie jasna co do sprawy następującej: posłuszeństwo Koronie wypowiadały kolonie, które z tą chwilą stawały się trzynastoma *wolnymi i niepodległymi* państwami-stanami. *Niezależnie od tego* – pisze Livingston – *czy liberałowie rozumieją co stwierdzała Deklaracja, to rozumiał to brytyjski monarcha, który w Traktacie Paryskim każdą kolonię oddzielnie wymienił i uznał za wolne, suwerenne i niepodległe państwo.*

Sam Jefferson rozumiał Deklarację tak konkretnie, jak to tu zostało nakreślone. I nie mogli jej inaczej rozumieć inni Założyciele. Można przypomnieć, że kilkadziesiąt lat wcześniej Locke napisał wspólnie z lordem Ashleyem, jednym z angielskich zarządców Karoliny, specjalną konstytucję dla owej kolonii. Żaden z nich nigdy nie był w Ameryce, ale uznali, że nie przeszkodzi im to w stworzeniu w Karolinie ustroju doskonałego. Inaczej myśleli mieszkańcy kolonii, którzy nie dopuścili do wejścia konstytucji w życie. Dla Amerykanów liczyło się życie i tradycja, nie abstrakcyjna idea⁵.

Krótko mówiąc, Deklaracja Niepodległości nie była żadną umową, mocą której powstawała nowa, jednorodna społeczna całość. Także Konstytucja, która dała kształt polityczny skonfederowanym stanom, zachowywała wewnętrzną wolność tychże, *explicite* ograniczając kompetencje rządu federalnego. Mocą obydwu dokumentów nie powstawało żadne „państwo-

idea”. To wiek XIX przyniósł fałszywe odczytanie intencji Ojców Założycieli i historii. Powstanie Ameryki nie było zatem taką rewolucją, o jakiej dziś piszą i mówią liberałowie. Było aktem buntu wobec prawowicie panującego władcy, i było rewolucją, ale inną i inna to już sprawa.

Lincoln i sprawa murzyńska

Abraham Lincoln jest jedną z nielicznych, prawdziwych „ikon” amerykańskiej historii. Jeśliby trzeba było jednej osobie przypisać zasługę – lub jedną osobę obarczyć winą – „stworzenia” scentralizowanego państwa amerykańskiego, to osobą tą byłby właśnie Lincoln. To również on umiejscowił w czasie powstanie jednego narodu amerykańskiego – odmawiając Południu prawa do secesji orzekł w swoim przemówieniu gettysburgskim w listopadzie 1863 roku, że to Ojcowie Założyciele uchwalając Deklarację Niepodległości *przynieśli na ten [czyli amerykański] kontynent nowy naród*. Nie taka była intencja Założycieli, o czym już wyżej napisałem powołując się na dwóch żyjących przedstawicieli Południa. Ale też użyta przez Lincolna przerośnia dała mu wspaniały pretekst by „w majestacie prawa” dokończyć wojennego dzieła oraz zamknąć pokonane i wyniszczone Południe wraz ze zwycięską Północą w obrębie jednego scentralizowanego państwa. I tylko konserwatyści od wojny domowej liczą czas budowy amerykańskiego państwa-lewiatana.

Abraham Lincoln, człowiek wielkich zdolności choć tylko niewykształcony prawnik samouk, znakomity i inteligentny mówca, przeprowadził Amerykę tak jak chciał przez najtrudniejszy okres w jej historii. I jak to z narodowymi „ikonami” zawsze się dzieje, w świadomości zbiorowej żyje dziś jako mit, jednowymiarowy i – by tak rzec -- „zredukowany do świętości”. A przecież, jak się ocenia, napisano o nim około 5 tysięcy książek, w których na pewno można znaleźć wiele zaskakujących informacji. Ostatnio, trud przeczytania niektórych z nich, i też poszperania samemu w źródłach, wzięł na siebie mój ulubiony publicysta, Joe Sobran.

To, że ideą *fixe* Lincolna nie była likwidacja niewolnictwa, lecz odmówienie Południu prawa do secesji oraz budowa scentralizowanego państwa, powtarzam do znudzenia. Wiadomo też dobrze, że chcąc finansować wojnę, prezydent odwoływał się do inicjatyw później uznawanych przez Sąd Najwyższy za niekonstytucyjne. Mniej już wiadomo, o czym przypomina w swojej publicystyce Sobran, że na mocy prezydenckiego upoważnienia w północnych stanach aresztowano tysiące przeciwników wojny domowej oraz zamknięto setki gazet. Rzadko także wspomina się o uwięzieniu antywojennie nastawionych członków kongresu stanu Maryland w roku 1961, gdy ten wprawdzie opowiedział się przeciw secesji, ale uznał prawo innych stanów do takowej. Wybory uzupełniające do legislatury marylandzkiej odbyły się następnie pod kontrolą uzbrojonego wojska, aresztującego osoby podejrzane o sympatyzowanie z Południem (wiadomo też, że niektórzy żołnierze nielegalnie głosowali).

Sobran przypominał również fakt najmniej chyba znany. Abraham Lincoln, pozostając szczerym przeciwnikiem niewolnictwa, był zarazem zwolennikiem tzw. kolonizacji, czyli dobrowolnej deportacji wyzwolonych amerykańskich Murzynów do specjalnie dla nich przygotowanych miejsc, najlepiej w Afryce lub Ameryce Łacińskiej⁶. Jego poglądy dobrze ilustruje taki fragment wypowiedzi adresowanej do delegacji wyzwolonych Murzynów, których jako pierwszy amerykański prezydent w historii podejmował w Białym Domu:

Wy i my jesteśmy różnymi rasami. Różnice między nami są większe niż między nieomal wszystkimi innymi dwiema rasami. Czy to dobrze czy źle, nie muszę tego rozważać, ale pewne

jest, że ta różnica fizyczna czyni wielką szkodę i wam, i nam, ponieważ – myślę – wasza rasa cierpi ogromnie, wielu z was, bo żyją wśród nas, gdy tymczasem nasi cierpią skutkiem waszej obecności. [...] Lepiej zatem dla was i dla nas, żebyśmy się rozdzielili.

Mocniejszych słów używał, gdy mówił do białych i stwierdzał wyższość białej rasy. W działaniach politycznych konsekwentnie zabiegał o realizację planów kolonizacyjnych. Jak reasumuje Sobran, Abraham Lincoln był spójny w swych poglądach: *sprzeciwiał się zarówno niewolnictwu, jak i przyznaniu Murzynom praw obywatelskich*. O czym warto wspomnieć, oczywiście nie po to, by się bezmyślnie oburzać, lecz wiedzieć jak rzeczywiście z problemem współistnienia różnych kultur – wówczas artykułowanym w terminach ras i rzekomych różnic fizycznych -- borykali się Amerykanie połowy XIX wieku.

Aktualności

Niech mi Czytelnik wybaczy, że – jak dwa miesiące temu – pozwolę sobie znowu pisać o sprawach wyjątkowo tragicznych i przykrych. Ale co poradzić na to, że tylko w ten sposób można oddać stan kultury i myśli, stan spraw publicznych w dowolnym kraju Zachodu? Kiedy w roku 1985 zacząłem regularnie czytać „Chronicles”, niemożliwością było znaleźć tekst religioznawcy, profesora uniwersytetu amerykańskiego, informujący czytelnika o sympatii do pedofilii u tego czy innego polityka lub intelektualisty. Byłoby to zwyczajnie niesmaczne. Gdy chodzi o polityków, trudno było sobie takowych wyobrazić, gdy zaś spytać o „intelektualistów”, Jean-Paul Sartre czy Simone de Beauvoir niewiele obchodzili konserwatywną elitę amerykańską, zaś o później słynnych postmodernistach oraz Bernardzie Kouchnerze i Jacku Langu w ogóle Amerykanie nie słyszeli i słyszeć nie chcieli. Ale co począć dziś, gdy dwaj ostatni są ministrami rządu francuskiego, pierwszy ministrem zdrowia (nota bene w pewnym momencie także dyrektorem sił NATO w Kosowie), drugi jeszcze lepiej, bo kultury? No więc przypomina prof. Harold Brown, redaktor działu religijnego „Chronicles”, że wymienieni protestowali w roku 1977 przeciwko skazaniu na więzienie trzech mężczyzn, którzy mieli kontakty seksualne z dziećmi w wieku 12 i 13 lat. Dzisiejsi politycy protestowali przeciw więzieniu za *trochę pieszczot i pocałunków*, inni, czyli Sartre i jego towarzyszka życia oraz Derrida, Foucault, Barthes (plus Sollers, Robbe-Grillet, Aragon) podpisali list otwarty stwierdzający, że *prawo powinno zalegalizować utrzymywanie przez dzieci i dorosłych związków seksualnych z kim zechcą*. To groźne, że tacy ludzie mogą dziś być ministrami i niestety trzeba o tym pisać.

Tak jak trzeba pisać o walce normalnych Amerykanów z „prawem” do zabijania nie narodzonych, prawie narodzonych i narodzonych, ale nie chcianych dzieci. Wiadomo dziś, że w Ameryce zdarzyły się przypadki pozostawienia w szpitalu bez opieki – po to, by umarły, do czego oczywiście doszło – noworodków, które przyszły na świat skutkiem nieudanej aborcji.

Zanim odnotowano wspomniane przypadki, kilkanaście lat temu, Hadley Arkes, profesor prawoznawstwa i amerykańskiego instytucjonalizmu na uniwersytecie Amherst, podjął starania o uchwalenie przez Kongres prawa chroniącego życie noworodków urodzonych w wyniku nieudanej aborcji⁷. Prof. Arkes dostrzegł w prawnym nakazie walki o życie tak urodzonych dzieci szansę na uświadomienie ludziom przynajmniej tego, że późna aborcja jest zwykłym dzieciobójstwem. Sam w sobie, ów akt prawny wydawał się wówczas niepotrzebny – nie wyobrażano sobie, by można było pozostawić bez opieki umierające dziecko.

Było to wyobrażenie mylne i właściwie – skoro zezwala się na aborcję – nielogiczne. W lipcu 2000 roku zauważył to Amerykański Sąd Apelacyjny Trzeciego Okręgu⁸, który (w

uzasadnieniu swego wyroku w sprawie późnej aborcji metodą tzw. częściowych urodzin) faktycznie uznał, że w świetle obowiązujących w Ameryce praw aborcyjnych status prawny dziecka nie zależy od tego, czy dziecko znajduje się wewnątrz czy na zewnątrz łona matki, lecz od tego, czy matka zamierza dziecko urodzić, czy też chce się go pozbyć dokonując aborcji. Sąd doszedł do wniosku, że dziecku poddawanemu częściowej aborcji nie należy się ochrona prawna, ponieważ -- zwyczajnie i po prostu -- *kobieta chcąc dokonać aborcji na pewno nie chce dziecka urodzić*. Co z tego wynika, pisać nie trzeba.

Inicjatywa prof. Arkesa z lat osiemdziesiątych nie powiodła się. Ale w kwietniu 2000 roku z podobną wystąpił kongresman nazwiskiem Canady. Dziś ustawa o ochronie nowonarodzonych jest już w Senacie, może więc dojdzie do jej uchwalenia mimo oporu amerykańskich zwolenników „postępu”. A jest już najwyższy czas po temu, nie tylko ze względu na ewentualne nieudane aborcje. Profesor Peter Singer, bioetyk z Princeton, uważa, że w przypadku chromych lub chorych noworodków rodzice powinni mieć 28 dni na zdecydowanie, czy chcą by dziecko żyło. Sic!

¹ Niech mi będzie wolno wrócić w tym przypisie do poprzedniego odcinka przeglądu i przeprosić Czytelników za zamieszczenie w nim ostatniego, ósmego przypisu, który sugerował, iż śmierć niejakiego p. McDougala miała związek ze złożeniem przezeń zeznań obciążających Clintonów. Popełniłem błąd – przypis zamieściłem za jakąś gazetą, zweryfikowawszy uprzednio prawdziwość informacji o śmierci, ale nie sprawdziwszy wiarygodności gazetowego komentarza. Gdy swój błąd dostrzegłem i znalazłem informacje o jak najbardziej naturalnej przyczynie zgonu p. McDougala (mimo bardzo dobrej opieki więziennej służby zdrowia), było już zbyt późno na usunięcie przypisu. (Irzykowski napisał bodaj w „Pałubie”, że choć złość może być złym doradcą, to jest bystrym obserwatorem. Mądre to spostrzeżenie, ale tym razem obserwacja była nic nie warta, zaś złość ujawniła swą niebezpieczną stronę. Raz jeszcze przepraszam.)

² ACLU to Amerykański Związek Swobód Obywatelskich, organizacja bardzo dziś głośna, antyreligijna i proaborcyjna, od początku swego istnienia lewicowa, stojąca na straży jak najradykałniej pojmowanego postępu. Utworzona przez socjalistów w 1917 roku, w owym czasie także pacyfistyczna. W latach trzydziestych i później infiltrowana przez komunistów.

³ Czyli pierwszych 10 poprawek do Konstytucji, przyjętych w roku 1791.

⁴ Kongres Kontynentalny 13 Kolonii powierzył przygotowanie Deklaracji Niepodległości Komitetowi w składzie: Benjamin Franklin, John Adams, Roger Sherman, Robert Livingston i Thomas Jefferson. Projekt Deklaracji, faktycznie przygotowany przez Jeffersona, został przyjęty przez Kongres niemal bez zmian.

⁵ Na przykład taka, że żadne prawo – poza samą konstytucją, która ma pozostać niezmienna na zawsze – nie może obowiązywać dłużej niż 60 lat (przepisy takie zawierał projekt Locke’a i lorda Ashleya).

⁶ Z tą myślą Amerykanie utworzyli Liberię. Inicjatorem przedsięwzięcia było Amerykańskie Stowarzyszenie Kolonizacyjne, które stolicę Liberii nazwało Monorovią na cześć jednego ze swych członków, prezydenta Jamesa Monroe. Stowarzyszenie, później zapomniane, powstało w roku 1816 i miało w swych szeregach wielu wybitnych Amerykanów. Należał doń także Lincoln.

⁷ W owym czasie miał miejsce przynajmniej jeden taki przypadek. Na skutek pewnych komplikacji, zagrażających życiu matki, procedura aborcji musiała zostać przerwana. Działający nielegalnie aborcjonista nakazał matce udanie się do domu i powrót w celu dokończenia procedury następnego dnia. Kobieta nie doszła do domu, została z ulicy zabrana do szpitala, gdzie urodziła córeczkę, której życie uratowano.

⁸ Całe Stany Zjednoczone podzielone są na jedenaście okręgów.